Maria Fudali*
Uniwersytet Zielonogórski

ROBERT FUDALI – (NIE)ZWYKŁY CZŁOWIEK

Przemijamy, przechodzimy
Z wielkich świateł w stronę zimy.
Czas przenosi nas z afiszy w stronę ciszy.
I grzęźniemy w smudze cienia
W miałkim piasku zapomnienia
Gdzie dopalą się do końca
Nasze słońca…
(Jan Wołek)

Na Uniwersytecie Zielonogórskim pielęgnowana jest pamięć o zmarłych pracownikach. Niedawno odbyło się seminarium poświęcone profesorowi Edwardowi Hajdukowi (zmarł w 2015 r.), a parę lat temu zorganizowana została konferencja podsumowująca dorobek naukowy zmarłego w 1997 r. profesora Bronisława Ratusia. Działanie takie wydaje się całkowicie zrozumiałe. Pamięć o pracownikach naszej uczelni, którzy „odeszli", powinna być pielęgnowana nie tylko przy okazji Święta Zmarłych. Są oni bowiem ciągle obecni wśród nas, m.in. w kolejnych pokoleniach pracowników, w ich dorobku naukowym, w pracy zawodowej naszych absolwentów czy też w ich relacjach z innymi ludźmi.

W tym roku zostałam poproszona o napisanie artykułu poświęconego mojemu zmarłemu mężowi, który był przez kilkanaście lat pracownikiem zielonogórskiej uczelni. Zastanawiając się nad formułą tego artykułu, przypomniałam sobie książkę profesora Władysława Bartoszewskiego zatytułowaną *Środowisko naturalne. Korzenie* (2010), dotyczyła ona osób, które tworzyły jego środowisko naturalne, a więc duchownych, nauczycieli, przełożonych i kolegów z konspiracji, a które miały wpływ na ukształtowanie jego osobowości i na głoszone przez niego poglądy. Idąc tym tropem, pomyślałam, że mogłabym napisać artykuł na podstawie relacji osób, które pojawiały się (na

* Maria Fudali – doktor nauk humanistycznych w dziedzinie pedagogiki. Zatrudniona na Uniwersytecie Zielonogórskim na Wydziale Pedagogiki, Socjologii i Nauk o Zdrowiu (prowadzi przedmioty związane z metodyką pracy z dziećmi i młodzieżą). Wykształcenie uzupełniła o podyplomowe studia na kierunku historia. Doświadczenie zdobywała także, pracując w szkole podstawowej w Chojnowie. W tym okresie wielu jej uczniów było finalistami wojewódzkich olimpiad historycznych organizowanych w Legnicy.

dłużej lub krócej) w życiu mojego męża, z którymi współpracował na różnych polach i które miały na niego wpływ lub były pod jego wpływem, i które zapamiętały go jako nauczyciela, przyjaciela, kolegę z pracy, naukowca, pedagoga. Osoby poproszone o refleksję na jego temat tworzyły środowisko koleżeńskie w trakcie ostatnich lat jego życia, w czasie których był związany z Wyższą Szkołą Pedagogiczną (WSP) w Zielonej Górze, a następnie z Uniwersytetem Zielonogórskim (UZ). Trudno mi bowiem dotrzeć do osób, które pracowały z Robertem w ZANAMIE – Kombinacie Górniczo-Hutniczym w Polkowicach (w latach 1980-1982), aczkolwiek, jak wspomina pracownik UZ, bliski kolega doktor Jerzy Herberger: „Roberta pierwszy raz zobaczyłem w tzw. komorze naprawczej, w trakcie zjazdu do kopalni miedzi (kiedy pracował w ZANAMIE). Widząc go na WSP po latach, nie miałem wątpliwości – to ta osoba, Robert fizjonomicznie był niepowtarzalny. Nie wiedziałem jednak, że to początek spotkania przez duże S".

Nie mam kontaktu z kolegami ani koleżankami Roberta z Technikum Mechanicznego w Głogowie, w którym uczył się w latach 1976-1980, czy też byłymi nauczycielami Szkoły Podstawowej w Białej koło Chojnowa, w której zaraz po studiach pracował jako nauczyciel języka polskiego (w latach 1990-1993).

Oparcie się na wspomnieniach osób, które tworzyły jego środowisko w ostatnich latach życia, nie jest trudne. Mój mąż zmarł pięć lat temu (27.10.2011 r.), a zatem żywe są jeszcze wspomnienia osób, które z nim współpracowały, pamiętają go, przytaczają jego wypowiedzi lub naukowe poglądy, np. przy okazji swoich zajęć ze studentami. Wielu jego byłych studentów, z którymi spotykam się w bardzo różnych okolicznościach, pamięta Roberta, jego zajęcia z pedagogiki, pasje, stosunek do człowieka i jego problemów.

W tym artykule oprócz wspomnień osób znaczących, związanych z Robertem, chciałabym przedstawić jego doświadczenia życiowe, poglądy, system wartości, zainteresowania i upodobania oraz wiele innych czynników, które miały istotny wpływ na jakość wykonywanej przez niego pracy pedagogicznej i na to, jakim był człowiekiem.

Niewiele osób wie, że związek mojego męża z zielonogórską uczelnią rozpoczął się dużo wcześniej, zanim podjął na niej pracę w 1993 r. W 1982 r. rozpoczął bowiem studia wyższe zawodowe w zakresie nauczania początkowego na Wydziale Pedagogicznym WSP w Zielonej Górze – filii w Legnicy, które ukończył w 1985 r. Cztery lata później uzyskał tytuł magistra w dziedzinie pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej na Uniwersytecie Wrocławskim.

Pasje

Robert był człowiekiem wielu pasji. Żył, wykorzystując każdą chwilę na ich realizowanie, tak jakby wiedział, że nie starczy mu na wszystko czasu. Nawet kiedy z kimś rozmawiał czy też odpoczywał, widać było, że tak naprawdę zaprzątają go zupełnie inne

sprawy. Zawsze miał pod ręką kartkę i długopis do zapisywania pomysłów, które mogły się pojawić w zupełnie nieoczekiwanym momencie, np. w czasie podróży, spotkania ze znajomymi czy też bezsennej nocy. Do dzisiaj znajduję notatki dotyczące kolejnych artykułów, projektów reklam telewizyjnych (dla Żywca), wywiadów z ciekawymi ludźmi. Jerzy Herberger (współuczestnik wielu turystycznych wyjazdów) wspomina Roberta: „systematyczny wbrew okolicznościom, zapisujący ważne myśli na kartkach, wiedzący, gdzie, która jest… czasem na granicy kompulsywności (a miał i swoje rytuały, które poznałem podczas górskich i śląskich wędrówek)".

Jedną z jego pasji była polityka. Miał nawet krótki epizod związany ze startowaniem w wyborach samorządowych w roku 2004 z ramienia Głogowskiego Stowarzyszenia Demokracji Lokalnej. Możliwość wzięcia udziału w takim przedsięwzięciu była dla niego okazją zdobycia doświadczenia, które pozwalało mu poznać kulisy prowadzenia polityki (nawet na szczeblu lokalnym) oraz mechanizmów rządzących ludzkim zachowaniem. Robert nie ukrywał, że ma lewicowe poglądy, cieszył się sukcesami lewicy, przeżywał jej porażki. Miał wiele pomysłów, jak powinna być prowadzona kampania wyborcza, w tej sprawie korespondował z Leszkiem Millerem. W naszym domu oglądaliśmy kilka wydań dzienników telewizyjnych prezentowanych przez różne stacje, kończąc wieczorem „Szkłem Kontaktowym". W rozmowach (w gronie rodzinnym, przyjaciół i znajomych) wielokrotnie pojawiał się temat polityki. Jak wspomina Mariusz Kwiatkowski, kolega z pracy, współtowarzysz górskich wędrówek,

> miał zdecydowane poglądy na wiele kwestii, ale ich nie narzucał, starał się słuchać i zrozumieć drugą stronę. Okazji do „przetestowania" go pod tym względem było wiele, ponieważ wielokrotnie w naszych rozmowach ujawniały się różnice zdań. Dzięki temu stawały się one bardziej interesujące. Ciekawość poznawcza i gotowość do zmiany perspektywy pod wpływem racjonalnych argumentów powodowały, że spory nie przeradzały się w kłótnie i popisy retoryczne.

Potwierdza to J. Herberger:

> Rozmawianie o polityce trochę nam zajęło. Nigdy, podkreślam – nigdy nie doszło do konfliktu na tym tle, a różnice były. Robert był radykalny w poglądach, rozsądny w słowach [...].
>
> Wspomniałem [J. Herberger], że znajomość z Robertem uznaję za spotkanie przez duże S. Tak można ująć moim zdaniem te interakcje, w których mamy poczucie doniosłego bycia kształtowanym przez Drugiego, ale też kiedy nasze walory, a nawet niedoskonałości stają się ważne dla niego, stanowiąc punkt wyjścia do obopólnego rozwoju (choćby przez negację, ale nie krytykę niedoskonałego). Co do siebie nie mam wątpliwości – Robert całym sobą mówił mi: afirmuję cię, ale nie wszystko w twoim zachowaniu akceptuję. W drugą stronę – mam mgliste poczucie, że byłem na tyle ważny i słuchany, że też miałem zaszczyt wpływać na Roberta, choćby na płaszczyźnie intelektualnej.

Szczególnie dużo uwagi poświęcał Robert turystyce. Jego zachwyt wzbudzały góry – przede wszystkim Tatry i Zakopane (szczególny sentyment miał do cmentarza na Pęksowym Brzyzku), architektura drewniana, zabudowa przemysłowa – Górny Śląsk (huty, kopalnie, osiedla fabryczne), Kraków i dolinki podkrakowskie (przede wszyst-

kim Ojców). Wakacyjne wyjazdy (tylko po Polsce) planował przez cały rok. Za granicą był tylko w Pradze. Cieszył się, kiedy jeździłyśmy z córką za granicę, on ten czas przeznaczał na pisanie artykułów, a później pracy habilitacyjnej. Nie lubił wakacji stacjonarnych, każdy wyjazd związany był ze zwiedzaniem okolicy. Niewiele jest miejsc w Polsce, których by nie zobaczył. Zawsze znalazł coś godnego uwagi. Rok przed śmiercią wybrał się na Górny Śląsk zwiedzać obiekty przemysłowe. Stare szyby kopalniane, rozpadające się familoki (górnicze budynki mieszkalne), przygnębiające, odrapane i brudne osiedla górnicze budziły jego zachwyt i – równocześnie – niezrozumienie widzących ten entuzjazm Ślązaków. Potrafił godzinami siedzieć na rynku w Lanckoronie, „nasiąkając" jej atmosferą. Być może, „pochylając się" nad pięknem zabudowy drewnianej niewielu już niestety polskich miast, miasteczek i wsi, próbował zatrzymać czas i zmierzyć się z czymś, co nieuchronne, zwłaszcza w kontekście jego choroby – przemijaniem i zapomnieniem.

Nie ma w Polsce gór, których by nie przeszedł. Był dumny z tego, że wraz z kolegami z UZ zdobył Rysy, ale nie pielęgnował sukcesów związanych ze zdobywaniem górskich szczytów. Cieszyło go bycie w górach, ich atmosfera, możliwość kontemplacji ich piękna. Ulubioną porą roku, w trakcie której zorganizował najwięcej górskich wypraw, była jesień. Nigdy nie pojechałby w góry zimą. Mariusz Kwiatkowski tak wspomina wspólny ich wyjazd w Góry Wałbrzyskie:

> Jesienią 2006 roku okazało się, że obaj mamy do załatwienia jakieś sprawy w Wałbrzychu. Wybraliśmy się więc tam razem, a sprawy załatwiliśmy na tyle szybko, by jeszcze zdążyć skorzystać z uroków babiego lata i przespacerować się po okolicznych górkach. Wybraliśmy się na Chełmiec. W drodze Robert przyznał się do bólu pleców. Szedł z poczuciem lekkiego dyskomfortu, ból nie był ostry. Stwierdził, że trzeba coś zrobić z tymi „korzonkami", bo zaczyna mu to przeszkadzać. Przed nami było jeszcze wiele rozmów i spotkań, ale to było ostatnie z tych, nad którymi nie wisiała czarna chmura choroby, która lubi zabijać.
> Atmosfera była więc pogodna i optymistyczna. Robert snuł plany na przyszłość. Marzyło mu się stworzenie ośrodka skupiającego pedagogów, których łączy wspólna wizja uprawiania tej dyscypliny i podobny sposób rozumienia dydaktyki. Roli nauczyciela, jak wiemy, poświęcił swoje najważniejsze prace. Rozmawialiśmy też o zamierzeniach badawczych, o naszych rodzinach, a nawet o planach wakacyjnych. Kiedy wspominam tę wędrówkę i wydarzenia, które nastąpiły w życiu Roberta (i moim również) kilka miesięcy po niej, przychodzi mi do głowy fragment piosenki Jaromira Nohavicy: „może i dobrze, że człowiek nie wie, co go czeka".
> Wspominam wędrówkę na Chełmiec, ponieważ w jej trakcie ujawniły się główne cechy Roberta. Nie miał przy sobie aparatu fotograficznego, ale podobnie jak wielokrotnie przy innych okazjach zachwycał się krajobrazem, kolorami jesieni i mówił, który z widoków i dlaczego zasługuje na utrwalenie. Robert się nie spieszył. Wyprawy tatrzańskie planował tak, by po wejściu na grań czy szczyt można było posiedzieć, pozachwycać się pięknem przyrody, pomilczeć, pomedytować. Tutaj podobnie, często się zatrzymywał, komentował, a miał co, ponieważ Wałbrzych obfituje w tereny pokopalniane i poprzemysłowe. A to była jedna z jego oryginalnych pasji.

W domu pozostało po Robercie kilka tysięcy pocztówek z różnych regionów Polski, spora kolekcja map (zawsze kupował dwie takie same mapy – jedna do natychmia-

stowego użytku i druga na zapas), slajdów, przewodników po Polsce, albumów krajoznawczych, kart telefonicznych ze zdjęciami ciekawych miejsc w Polsce. W komputerze są zdjęcia z wypraw, które budziły zachwyt tylko i wyłącznie Roberta (np. z Górnego Śląska, Wałbrzycha, Łodzi, Legnicy, dzielnicy żydowskiej w Krakowie – Kazimierza, zarośniętej Pustyni Błędowskiej koło Olkusza).

To zamiłowanie do turystyki starał się zaszczepić dzieciom i dorosłym.

Pracowaliśmy razem w placówce profilaktycznej – wspomina J. Herberger. – Nie siedział na sali, ciągał dzieci na wycieczki, pokazywał Wzgórza Dalkowskie, lokalne ciekawostki, uczył historii na żywej tkance miasta. Do dziś wspominają… Żałuję, że nigdy z nimi nie poszedłem, nie chciało mi się… To była jego wizja pedagogiki – praktycznie, w kontakcie z człowiekiem i jego otoczeniem, uważał pedagogikę bardziej za sztukę i przejaw twórczości niż naukę (choć jeśli kogoś pytać o teorię i historię myśli pedagogicznej, to Jego).

Nasi znajomi wiedzieli, że wielką pasją Roberta jest kolej, dlatego obdarowywali go różnymi gadżetami związanymi z koleją. Jego kolekcja szybko powiększała się o popielniczki, tabliczki znamionowe, tablice ostrzegawcze (np. nie wychylać się z pociągu, które potrafił sam odkręcić z wagonu, kiedy nikt nie widział), kompostiery (stare kasowniki), lampki kolejowe, lizaki dróżnika, kartonowe bilety, czapki i mundur naczelnika stacji, zasłonki z logo PKP. Marzył, że kiedyś przygotuje jedno pomieszczenie w domu, które będzie przypominało stację kolejową. Niemal wszystkie niezbędne rekwizyty miał już bowiem zgromadzone. W czasie choroby (kiedy nie mógł chodzić) sklejał modele kolejki TT, które chciał zaprezentować na dużej makiecie. Jego ulubioną piosenką kolejową był utwór w wykonaniu Rudiego Schubertha i Wałów Jagiellońskich – *Wars wita*.

Bernadetta Zamaria, nasza przyjaciółka z Głogowa, tak wspomina jego zainteresowanie koleją:

W ubiegłym roku wybrałam się w letnią podróż bieszczadzką kolejką leśną. Kiedy odebrałam pamiątkowy bilet, w pierwszym odruchu chciałam go wyrzucić, jednak po chwili pomyślałam, że zachowam go, bo przecież Robertowi na pewno by się spodobał. To niezwykłe, od Jego śmierci minęło pięć lat, a ja przyglądałam się stacyjce, lokomotywom, a także zebranym w niewielkim muzeum mundurom, czapkom, lampom, kolekcjom biletów, kolejowym rupieciom z rozczuleniem, bo przecież prawdopodobnie byłyby to rzeczy bliskie Jemu.

Jego ogromny sentyment budziły stare, często opuszczone stacje kolejowe, jak np. Jugowice koło Wałbrzycha czy Rudna Gwizdanów. Widok nadjeżdżającego pociągu lub tylko jego dźwięk potrafiły zatrzymać go w bezruchu, a do pracy, mimo dłuższej podróży, wolał dojeżdżać pociągiem niż samochodem. Uwielbiał kolejki wąskotorowe i należał do licznej rzeszy jej pasjonatów. Najbliższa była w Śmiglu, dlatego też zorganizował tam wyjazd rodzinny i wraz z innymi miłośnikami fotografował jej przejazd na trasie Stare Bojanowo-Wielichowo, co kawałek wysiadając z samochodu i zachwy-

cając się jej pięknem. Nie ma chyba zresztą w Polsce kolejki, której by nie widział lub nie skorzystał z jej usług.

Swoje zamiłowanie do kolei starał się przekazać naszej córce. Kasia od małego uczestniczyła w kolejowych eskapadach (początkowo tylko w najbliższe okolice). Zawsze znalazł czas na wspólną wyprawę. Szczególnym sentymentem darzył stację Głogówko koło Głogowa (tam jako dziecko jeździł z mamą na grzyby). Potrafił godzinami siedzieć na peronie, kontemplując (dla postronnego obserwatora wątpliwe) piękno. O takim przeżywaniu różnych miejsc śpiewa zespół Stare Dobre Małżeństwo (który Robert bardzo lubił) w utworze *Rynek w Tymbarku*: „dziś sam dla siebie to odkrywam". W tym swoistym misterium towarzyszyła Robertowi Kasia, która uwielbiała te chwile spędzane z tatą i jego „nasiąkanie" atmosferą starej, zaniedbanej i bardzo urokliwej okolicy. Ta umiejętność wspólnego, niczym niezakłócanego bycia ojca z córką była wielokrotnie powtarzana w czasie naszych wspólnych wyjazdów.

Pod koniec życia zaczytywał się w literaturze poruszającej kwestie obozów zagłady funkcjonujących w czasie II wojny światowej. Czytał wszystko, co mu „weszło" pod rękę i co dotyczyło tych zagadnień. Szczególną uwagę poświęcał wspomnieniom więźniów obozów koncentracyjnych. Czasami wydawało się, że czytał ciągle o tym samym, ale jak zauważył profesor Władysław Bartoszewski w swojej książce *Mój Auschwitz*:

> […] wszyscy więźniowie przebywali w jednym i tym samym Auschwitz, ale jednocześnie każdy więzień przebywał w swoim Auschwitz. Różne były kręgi piekła, różne były doświadczenia. […] Dlatego należy pamiętać, że dzieje Auschwitz to suma indywidualnych losów, cierpień, pamięci. Poza tym nie wolno zapomnieć, że już na wieki będzie to historia niedopowiedziana. Nigdy bowiem nie będzie nam dane poznać relacji setek tysięcy tych, których w tym obozie pomordowano (Bartoszewski 2010, s. 5-6).

Wydaje się, że właśnie dlatego z taką uwagą podchodził Robert do każdej relacji więźniów z ich życia obozowego. Znał niemal wszystkie jego tajniki, potrafił opowiadać o jego specyfice, rozkładzie dnia więźniów, praktykach dręczenia stosowanych przez strażników. Myślę, że z taką wiedzą mógłby dzisiaj być przewodnikiem w niejednym obozie koncentracyjnym. Wielokrotnie powtarzał, że czytanie takiej właśnie lektury (przed snem) uspokaja go! Być może był to sposób na poradzenie sobie z własnym poczuciem krzywdy (w obliczu śmiertelnej choroby) i doświadczeniem, że inni mogli (mogą) mieć gorzej. Nie byłby sobą, gdyby nie podjął tematyki obozowej w swoich rozważaniach naukowych. Pokłosiem tych dociekań był nieskończony artykuł poświęcony oświacie wśród więźniów, przedstawiający różne działania podejmowane przez inteligencję (profesorów, nauczycieli, prawników) służące obronie godności, człowieczeństwa i polskości w miejscu, które przeznaczone było tylko do eksterminacji i zabijania, w którym z założenia nie miały obowiązywać żadne zasady społeczne ani moralne.

Kolejna pasja Roberta dotyczyła historii wojskowości ZSRR i jest ona wynikiem współpracy z profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego Bolesławem Potyrałą.

Zaproponował on (w 2007 r.) wspólne napisanie całościowej charakterystyki sylwetek najwyższych dowódców armii ZSRR. Efektem tego było powstanie dwóch monografii: *Elita Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego w latach 1935-1991* i *Od zwycięstwa do upadku. Siły Zbrojne Związku Radzieckiego 1945-1991*. Profesor Damian Tomczyk (ppłk w stanie spoczynku) w recenzji wydawniczej jednej z nich napisał:

> Praca ma szczególne znaczenie w badaniach historycznych, pozwala bowiem poznać radzieckie siły zbrojne przez pryzmat życia jednostek. Szkice biograficzne napisane są bardzo dobrze, w sposób syntetyczny, zwięzły, a jednocześnie barwny. Czyta się je prawie tak jak wojenne meldunki. Mimo to prezentowane postacie przemawiają do czytelnika, budząc nieraz szacunek i podziw. Materiały biograficzne oparte zostały bądź na radzieckich i rosyjskich wydawnictwach źródłowych, bądź na wyjątkowo solidnie wykorzystanej literaturze wojskowo-historycznej – radzieckiej, rosyjskiej i polskiej.

Zastanawiałam się nieraz, co skłoniło mojego męża do podjęcia takiej właśnie tematyki. Być może miał na to wpływ profesor B. Potyrała, którego Robert bardzo cenił (był promotorem jego doktoratu), a być może miało tutaj znaczenie to, że były to badania biograficzne (którymi zajmował się w swojej działalności naukowej), pozwalające uchwycić wpływ mechanizmów państwa totalitarnego na losy jednostki (w tym przypadku kariery dowódców wojskowych).

Robert interesował się również kulturą żydowską, znał na pamięć święta judaistyczne i związane z nimi tradycje. Szczególnym sentymentem darzył Kazimierz (dzielnicę żydowską w Krakowie). Odwiedzał ją, zanim stała się popularna (dzięki *Liście Schindlera* Stevena Spielberga) i odwiedzana przez polskich i zagranicznych turystów, kiedy widok osoby z aparatem fotograficznym budził zdziwienie i uśmiech na twarzach mieszkańców m.in. ul. Wąskiej, Kupa czy Estery. Zachwycał się pięknem odrapanych, zrujnowanych pożydowskich kamienic, ocalałym w czasie II wojny światowej cmentarzem i synagogą Remuh przy ul. Szerokiej. Każdy wyjazd w okolice Krakowa musiał być połączony ze spacerem po Kazimierzu, po urokliwych – dla niego – uliczkach i zaułkach.

Niedaleko Krakowa (w Olkuszu) mieszkał brat Roberta z rodziną, więc odwiedzanie ulubionego miasta nie stanowiło dla niego większego problemu. Potrafił z bratem „wyskoczyć" autostopem na chwilę do Krakowa przy okazji wyjścia na zakupy. Każdą wolną chwilę przeznaczał na jego odkrywanie. W rodzinie krąży opowieść o Robercie, który jako nastolatek, w drodze z Tarnowca – rodzinnej wsi swojej mamy, zatrzymał się przejazdem właśnie w Krakowie. Rodzina obdarowała go dwoma torbami różnych wyrobów huty szkła w Krośnie (w której ktoś z nich pracował). Poranek w Krakowie był bardzo ciepły, do pociągu do Głogowa było jeszcze kilka godzin i nic nie stało na przeszkodzie, żeby pospacerować po mieście, gdyby nie dwie ciężkie torby. Robert postanowił pozbyć się ciężaru i odwiedził okoliczny budynek mieszkalny. Każdy, kto miał czystą wycieraczkę, dostawał w prezencie (nie wiedząc o tym) np. wazonik i szklaną rybkę (kultowy gadżet czasów PRL-u), pozostali jakiś niewielki drobiazg. Udało mu

się w ten sposób obdarować mieszkańców dwóch klatek schodowych. Do domu przywiózł tylko kilka szklanych drobiazgów, które przechowywane są jako cenna pamiątka rodzinna.

Zwykły człowiek

Jerzy Herberger zauważa:

Jako psycholog napisałbym (powiedziałbym) też, jak postrzegam ROBERTA od tej strony. Introwertyk-optymista, czyli klasyczny flegmatyk. Niedoceniany typ temperamentu, bardzo odporny psychicznie, zdolny działać metodycznie, wbrew przeszkodom, konsekwentnie. W zasadzie zamknięty w sobie, pozornie wyalienowany, ale umiejący słuchać i wiedzący, kogo słuchać (w pozytywnym sensie). Nieprzeciętnie cierpliwy, ale jak to z cierpliwością – ma swoje granice i u flegmatyka… parę razy Roberta trwale wkurzonego też widziałem.
Emocjonalnie zrównoważony, na granicy angielskiego niewyrażania uczuć, mało asertywny, co łączę z wrażliwością i afirmacją innych, bo potrafił też stanowczo i dobitnie wyrażać swoje zdanie.

Robert potrafił słuchać i tę umiejętność wykorzystywał w rozmowach z różnymi ludźmi, nie miały dla niego znaczenia wiek, płeć, status materialny czy też wykształcenie rozmówcy. Jerzy Herberger wspomina wspólny wyjazd do Sieradza:

Pamiętam wizytę u znajomej, której córka, może siedmioletnia, w zasadzie nie rozmawiała z przedstawicielami płci męskiej. Nie mogłem wyjść z podziwu, rozmawiała z Robertem cały wieczór. Zastanawiałem się długo – jak on to zrobił. A On po prostu autentycznie słuchał (podczas tej wyprawy pokazałem Mu łódzkie ciekawostki industrialne, a te bardzo lubił).
Pozornie uległy, ale niedający się namówić na to, na co nie miał ochoty, nie lubił, nie aprobował. Otwarty poznawczo, sądzę, że właściwości intelektu to najmocniejsza strona, obok uczciwości. Dodam, że poczucie humoru miał też angielskie. Ogólna impresja – to był angielski typ (między idealizmem i pragmatyzmem), w Londynie czułby się dobrze, ale choć lubił włóczęgi krajoznawcze, za granicę go nie ciągnęło.

Profesor Mirosław Kowalski, pracownik UZ, kolega z zakładu, późniejszy kierownik Roberta, wspomina:

1 października 2004 roku. Wchodzę jako adiunkt zatrudniony w Zakładzie Pedagogiki Ogólnej i Pedeutologii do przydzielonego mi pokoju numer 331. Spotykam tam Roberta, wcześniej mi nieznanego doktora, który po krótkim przywitaniu proponuje herbatę oraz… własne kanapki. Nie wiem, czy wtedy wyglądałem na osobę mało jedzącą, ale Robert od naszego pierwszego, wspólnego spotkania zawsze częstował mnie kanapkami. Owe kanapki oprócz tego, że były profesjonalnie zapakowane i smaczne – miały szczególną wymowę. Czas na ich spożywanie pozwalał na opowiadanie dowcipów oraz… wspólne rozważania dotyczące celu i sensu życia, nauki i… wędrówek po górach! Zastanawiające było to, że Robert nadzwyczaj ożywiał się i długo prowadził dysputy (a właściwie monolog) o aktywności turystycznej, górskiej (gdzie był, gdzie będzie). Góry to było, jak pamiętam, jego drugie życie. Trzecie zaś związane było z kolejką wąskotorową, którą budował. Lokomotywami, wagonami, stacjami itd. Pasja, hobby, swoista

zabawa w budowanie w codzienności niecodziennych marzeń, pozwalająca na myślenie o jutrzejszej podróży kategoriami dnia dzisiejszego. […] Być może Robert, gdzieś tam „u góry" już wybudował swoją kolejkę wąskotorową i zabiera pasażerów na gapę, częstując ich kanapkami! Dziękuję Robercie za wszystko!

Robert unikał wszelkich konfliktów, nie potrafił walczyć ani siłowo rozwiązywać sporów. Był postrzegany jako niezwykle spokojny człowiek, którego ciężko wyprowadzić z równowagi. Niestety, nie było tak, że wszystko spływało po nim jak po kaczce. Każde trudne zdarzenie wielokrotnie analizował, przedyskutowywał w gronie rodziny lub przyjaciół i robił to tak długo, aż nie znalazł jakiegoś rozwiązania. Umiał walczyć o ludzi, stanąć w obronie słabszych i pokrzywdzonych, przy czym robił to w sposób niezwykle taktowny i elegancki, starając się nikogo nie urazić. Myślę, że nieprzypadkowo miał w młodości pseudonim – hrabia.

Nie sposób zapomnieć o Robercie – zauważa B. Zamaria – w bliskim kontakcie życzliwy, skromny, ciepły… z łagodnym uśmiechem, do ostatnich chwil. Prawy… w trudnym dla mnie i mojego męża momencie życia udzielił nam wsparcia, bez obawy o utratę pozycji w ówczesnym miejscu pracy. Skromny kłopotliwie, bo jego milczenie, przy mojej nadmiernej gadatliwości, raz na jakiś czas wprawiało mnie w zakłopotanie. Skromny w cierpieniu, nie przypominam sobie słów skargi na towarzyszący chorobie ból. Waleczny, pamiętam Jego ogromną wolę życia. Nie sposób pisać o Nim, nie wspominając Jego najbliższych Marii i Kasi, dla mnie i mojego męża stanowili jedno, często mówiliśmy o Nich per „Robertowie", do dziś tak mówimy. Z ostatniego spotkania z Robertem pamiętam spojrzenie i uścisk obu dłoni… rozmowę, w której pojawia się niewiele słów. A wśród tych nielicznych, które „są": empatię i troskę w stosunku do innych ludzi, cierpiących i walczących tak, jak on sam. Na kilka dni przed śmiercią Robert wspomniał, że chciałby opracować typologię pacjentów oddziału onkologicznego.

Nauczyciel

Robert miał niezwykłą umiejętność słuchania. Z każdej rozmowy potrafił „wziąć" coś dla siebie. Lubił ludzi i chętnie się z nimi spotykał. Idee warte uwagi wplatał w swoje poglądy. Nie chciał i nie potrafił obstawać twardo przy swojej racji, zakładał, że każdy człowiek może być autorem ciekawych pomysłów. Był zwolennikiem teorii, że nikogo nie można przekreślać ani osądzać. Myślę, że pasuje do niego wypowiedź Jima Jarmuscha (znanego reżysera kina niezależnego): „Nigdy nie osądzaj ludzi. Być może sędziwa dama, która wydaje ci się niedołężną staruszką, kopnie cię w siedzenie, a śpiący na ławeczce starzec jest wybitnym astrofizykiem" (Orzechowska 2017). Na zajęciach ze studentami chętnie wykorzystywał nowe wiadomości pozyskane z różnych źródeł. Nie bał się mówić o sprawach kontrowersyjnych i umiał przyznawać się do swoich błędów. Miał duże poczucie humoru, jego wykłady pełne były dykteryjek, śmiesznych historii, cytatów z polskich komedii (najbardziej lubił *Rejs* i *Poszukiwany, poszukiwana*). Studenci zapamiętali go jako „wspaniałego wykładowcę", „naukowca, który prowadził

najciekawsze zajęcia ze wszystkich w ciągu 3 lat studiów", „miałem przyjemność być słuchaczem wykładów dr Roberta Fudali i powiem jedno: był to złoty człowiek, emanujący niesamowitą ilością humoru", „zarażał entuzjazmem, motywował do pracy, wspierał, prowadził najciekawsze zajęcia ze wszystkich, jakie mieliśmy przez całe 3 lata, każde z nich były inne… człowiek z powołaniem, wielki autorytet", „bardzo wesoły i optymistycznie nastawiony do świata człowiek" (glogow.naszemiasto.pl, 29.12.2016).

Szczególnymi względami cieszyły się u Roberta studentki w ciąży. Zdawały u niego egzaminy na szczególnych, dużo lżejszych warunkach. Twierdził, że powinno być to normą na uczelni pedagogicznej. Zaliczył kilka „wpadek", wypytując o przebieg ciąży kobiety, które miały nadwagę i nie spodziewały się dziecka. Był autorytetem, ale nie odgradzał się od studentów murem, nie tworzył dystansu. Z wieloma z nich utrzymywał kontakt do swojej śmierci, współpracując przy różnych przedsięwzięciach naukowych, uczestnicząc w wydarzeniach rodzinnych. Jego przyjaciel (były student UZ) doktor Zbigniew Kuźniar tak wspomina spotkanie z Robertem:

> Poznałem go na Uniwersytecie Zielonogórskim na pierwszym roku studiów licencjackich, gdzie rozpocząłem studia pedagogiczne. Robert był tam wykładowcą i jednocześnie autorytetem dla naszej grupy (pewnie nie tylko naszej), ponieważ posiadał ogromną wiedzę i potrafił ją właściwie przekazać. Miał również niepowtarzalne podejście do studentów. Cała nasza grupa darzyła doktora niesamowitą sympatią jako człowieka z dużym, jak dla nas, już dorobkiem i stopniem naukowym […]. Wszystkie wypowiedzi Roberta zawsze kończyły się dla mnie morałem. Czy Robert je przekazywał, czy tylko ja je słyszałem…? Te wszystkie mądrości, np. „studia kończą nie zawsze najzdolniejsi, ale zawsze najwytrwalsi…", „nie liczy się ilość, ale jakość…", które usłyszałem od mojego Wielkiego Przyjaciela, mam nadal w moim umyśle. Doceniam je, cytuję i staram się wykorzystać najlepiej jak potrafię i to przede wszystkim nie tylko dla siebie.

Jak zauważa M. Kwiatkowski, „Robert miał [...] swój indywidualny program rozwoju". Jego droga zawodowa mogłaby być uznana za ucieleśnienie, a jednocześnie parafrazę amerykańskiej kariery „od pucybuta do milionera". Zaczynał bowiem jako konserwator urządzeń górniczych, a „skończył" jako adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Idąc po raz pierwszy do pracy w ZANAMIE, wiedział, że nie jest to jego miejsce docelowe. Cały czas szukał swojej własnej drogi rozwoju. Musiał pokonywać opór rodziny, która w porzuceniu pracy w ZANAMIE i rozpoczęciu studiów pedagogicznych w Legnicy widziała jedynie początek jego degradacji społecznej. Robert nie zrażał się ani tymi komentarzami, ani przeszkodami, które pojawiały się na jego drodze. Działał pomału, z rozmysłem, planując różne przedsięwzięcia z dużym wyprzedzeniem. Zgodę na rozpoczęcie studiów na Uniwersytecie Wrocławskim (po trzecim roku studiów na WSP w Legnicy) uzyskał dopiero za entym razem, kiedy pani dziekan miała urodziny i „dobry humor". Myślę, że są tacy ludzie, którzy słysząc odmowę, zraziliby się już za pierwszym razem, Robert do nich nie należał. Wiedział, czego chce, i do tego dążył, nigdy po trupach, ale przekonując do siebie innych, powoli (jak to mówił) „pokonując opór materii".

Habilitacja

Działał niespiesznie, metodycznie, cierpliwie – zauważa M. Kwiatkowski. – Tych cech mu zazdrościłem. Za cierpliwość podziwiałem. Cierpliwość okazała się niezbędną, wręcz zbawienną cechą w ostatnich latach, a szczególnie w ostatnich miesiącach jego życia. Cierpienie znosił z zadziwiającą pokorą, stosując przy tym swoistą terapię przez pracę: „Staram się przynajmniej godzinę-dwie dziennie poświęcić na pisanie. Cieszy mnie, jeśli powstanie choć jedna strona". Jak wiemy, powstała książka, bez wątpienia, habilitacyjna. Ukazała się już po śmierci.

Profesor Robert Kwaśnica w jej recenzji napisał:

Zarówno rozdziały tworzące część pierwszą, będące przygotowaniem do badań własnych Autora, jak i same te badania oceniam bardzo wysoko. Recenzowana praca ma wiele zalet, najważniejsze z nich, te które przesądzają o bardzo wysokiej ocenie całości, to: wybór i problematyzacja tematu, […]. Wybór metody badawczej, […] rzetelność, wnikliwość i oryginalność analiz teoretycznych oraz studiów empirycznych.

Nie przypominam sobie, kiedy Robert zaczął pracować nad rozprawą habilitacyjną, ale pamiętam, że poświęcał jej każdą wolną chwilę.

Wiedziałam i widziałam, że kiedy zamyka komputer, pracuje nad nią nadal. W myślach analizował, przetwarzał i poprawiał. Czasami byłam o nią zazdrosna, denerwowałam się, że czas, który poświęcał jej, jest tak naprawdę czasem kradzionym nam jako rodzinie. […] Wiedziałam, że tylko wtedy, kiedy ją pisał, nie myślał o chorobie, że intensywna praca nad tekstem i przeżywanie losów innych pozwalało mu o niej zapomnieć.
Pisanie rozprawy habilitacyjnej sprawiało mu ogromną radość. Wielokrotnie rozmawialiśmy o bohaterach wywiadów i o ich losach, w których mogliśmy odnaleźć wiele analogii do naszych początków w tym zawodzie. […] W gronie nauczycieli powojennych odnajdywał ludzi, którzy mieli wpływ na jego osobowość i prezentowane poglądy. To wśród nich wynajdywał „perełki" stanowiące żywe przykłady nauczycielskiego powołania. Taki stosunek do zawodu starał się przekazać swoim studentom, z takim nastawieniem pisał tę książkę.
Robert pracował nad książką habilitacyjną nawet w szpitalu, w czasie kolejnych chemioterapii. Pisząc ją, potrafił się całkowicie wyłączyć, nie przeszkadzały mu rozmowy innych pacjentów na sali czy też włączony telewizor. Ordynator onkologii nazywał go docentem, widząc go ślęczącego całymi godzinami nad komputerem. W czasie swojego ostatniego pobytu w szpitalu (w październiku 2011 r.) nie zabrał ze sobą komputera. Nie miał już nad czym pracować. Książka była już w wydawnictwie (Fudali 2012, s. 3-4).

Mariusz Kwiatkowski tak wspomina pracę Roberta nad książką habilitacyjną:

À propos habilitacji. Kiedy patrzymy na tytuły i stopnie naukowe z perspektywy śmierci, nabierają one innego, właściwego, znaczenia. Robert pisał do końca, ale motorem jego działań była pasja, zainteresowanie tematem, a nie pragnienie zaszczytów. Dlatego praca mogła być dla niego terapią. O chorobie tytułomanii rozmawialiśmy wielokrotnie. Myślę, że spodobałoby mu się stwierdzenie wybitnego filozofa księdza profesora Józefa Tischnera, że kiedy znajdzie się „po tamtej stronie", to przedstawi się po prostu jako Józek, a nie ksiądz, profesor czy dziekan. Robert miał na ten temat swoją opowieść. Mówił, że niektórzy ludzie z tytułami naukowymi zbyt pochopnie uznają, że mogą wszystko, ponieważ mają „urzędowe potwierdzenie swojej mądro-

ści". On takiego potwierdzenia nie potrzebował i nie pragnął. Miał po prostu swój indywidualny program rozwoju. Warto mieć nadzieję, że realizuje go w innym wymiarze.

Myślę, że:

Sytuacja zdrowotna zmusiła Roberta do wyboru takiego tematu pracy habilitacyjnej, który pozwalał pracować w domu, ograniczając do minimum konieczność męczących w jego stanie zdrowia wyjazdów do archiwów w całej Polsce. Pracował na materiale, który sam zgromadził (przeprowadzając wywiady z nauczycielami) i który przekazali mu studenci w ramach realizowanych z nim zajęć (Fudali 2012, s. 3-4).

Owocem tych analiz była rozprawa habilitacyjna *Nauczyciele w biegu życia 1945-2010. Perspektywa trzech pokoleń*, która została wydana parę miesięcy po śmierci Roberta (dzięki profesorowi Zbigniewowi Izdebskiemu – ówczesnemu Dziekanowi Wydziału Pedagogiki, Socjologii i Nauk o Zdrowiu).

Jestem przekonana, że uzyskanie tytułu profesora (po „zrobieniu" habilitacji) nie zmieniłoby Roberta, gdyż nigdy się nie wywyższał ani nie obnosił z posiadanym wykształceniem (tak jak nie zmienił go stopień doktora). Do końca pozostał sobą. Śmiał się z różnych sytuacji, w których jego rozmówca, słysząc, że jest doktorem, traktował go jak lekarza. Zbigniew Kuźniar wspomina:

Po ukończeniu studiów II stopnia na spotkaniu z Robertem, dumny z otrzymanego tytułu magistra, powiedziałem: „no… to teraz mogę się już powymądrzać na różne tematy…", na co on, jak zwykle z sobie tylko znaną lekkością, powiedział: „wiesz Zbyszek, mi się wydaje, że z tym wymądrzaniem to dopiero od doktora można, teraz jeszcze cytować trzeba…", ubawił mnie wtedy bardzo, ja już niby taki mądry, a tu nadal trzeba skromność okazać…

Robert pozostał skromny do końca.

Warto zaznaczyć, że w swojej działalności naukowej penetrował różne obszary rzeczywistości społecznej. Był redaktorem zbioru *Edukacyjne przestrzenie: wybrane problemy pedeutologii, opieki w ujęciu komplementarnym* (wyd. 2010) i współredaktorem (z profesorem M. Kowalskim) dwóch innych – *Kobieta i mężczyzna w zawodzie nauczycielskim* (wyd. 2006); *Przestrzeń edukacyjna – dylematy, doświadczenia i oczekiwania społeczne* (wyd. 2011). Publikował artykuły z dziedziny pedagogiki, historii wychowania w „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym", „Kwartalniku Pedagogicznym" i „Remedium", co miałoby znaczenie przy ocenie dorobku naukowego dokonywanej przez komisję dopuszczającą do rozprawy habilitacyjnej.

Jak wspomniałam wcześniej, pisanie o osobie bliskiej nie jest trudne, jeżeli dysponuje się wielostronnymi opiniami potwierdzającymi własne impresje. Jest łatwe jedynie poznawczo, nie emocjonalnie. Wymaga bowiem powrotu do przeżyć związanych ze stratą, doświadczenia po raz kolejny pustki i bólu spowodowanego śmiercią bliskiej i niezwykłej osoby. Przyglądanie się jej z perspektywy kilku już lat nadal jest bardzo

bolesne, uświadamia bowiem tyle niewykorzystanych okazji, by coś zrobić, powiedzieć czy też po prostu z nią być.

Zabierałam się do pisania tego artykułu bardzo długo, trudno mi było znaleźć odpowiednią jego formułę. Pisząc go, bałam się, że nie uda mi się właściwie oddać tego, jakim był człowiekiem, i czy pisząc ten artykuł, uda się (chociaż w niewielkim stopniu) ocalić go od zapomnienia.

Trudność ta dotyczy też kończenia – jako że życie Roberta było niedokończone, pozwolę sobie również i wspominanie go pozostawić bez zakończenia.

Bibliografia

Bartoszewski W. (2010), *Mój Auschwitz*, Wydawnictwo Znak, Kraków.

Fudali M. (2012), *Przedmowa*, [w:] R. Fudali, *Nauczyciele w biegu życia 1945-2010. Perspektywa trzech pokoleń*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra.

Orzechowska J. (2017), *Po pierwsze nie osądzaj*, wywiad z Jimem Jarmuschem, „Twój Styl", styczeń 2017 r.

http://glogow.naszemiasto.pl/artykul/glogow-zmarl-robert-fudali [dostęp: 29.12.2016].

http://www.eska.pl/tekst-piosenki-tlumaczenie/zbigniew-wodecki-cyrk-w-zimie/63067 [dostęp: 12.05.2017].

Robert Fudali – (nie)zwykły człowiek

Streszczenie: Ten artykuł był napisany w szóstą rocznicę śmierci doktora Roberta Fudali wieloletniego pracownika Uniwersytetu Zielonogórskiego. Został napisany w oparciu o wspomnienia kilkunastu osób, które Go znały, były Jego przyjaciółmi lub współpracowały z Nim, tworząc Jego naturalne siedlisko (kolegów, przyjaciół, współpracowników, studentów). Sylwetka Roberta Fudali została przedstawiona w wielu aspektach: jakim był człowiekiem, jakie miał hobby i czym się pasjonował, Jego zainteresowania badawcze, działalność dydaktyczna, a także to co po sobie pozostawił. Wspomnienia dotyczą głównie okresu, w którym był związany z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Zielonej Górze, a później Uniwersytetem w Zielonej Górze.

Słowa kluczowe: Robert Fudali, pedagog, nauczyciel, pasje, zainteresowania badawcze, Uniwersytet Zielonogórski

Robert Fudali – (Extra)ordinary man

Abstract: This article was written on the sixth anniversary of the death of Robert Fudali, a longtime employee of the University of Zielona Góra. It was written on the basis of the memories of several people who knew him, who was friends with him or collaborated with him creating his natural habitat (colleagues, friends, associates, students). Robert Fudali's silhouette has been portrayed in many aspects: what kind of human he was, what hobbies he had and what he was passionate about, his research interests, him as a teacher, and what he left behind. Memories mainly concern the period in which he was associated with the Wyższa Szkoła Pedagogiczna in Zielona Góra and later the University of Zielona Góra.

Keywords: Robert Fudali, pedagogue, teacher, passions, research interests, University of Zielona Góra